

6654

Pani

Warszawa
12-2012
M. / Nr 12

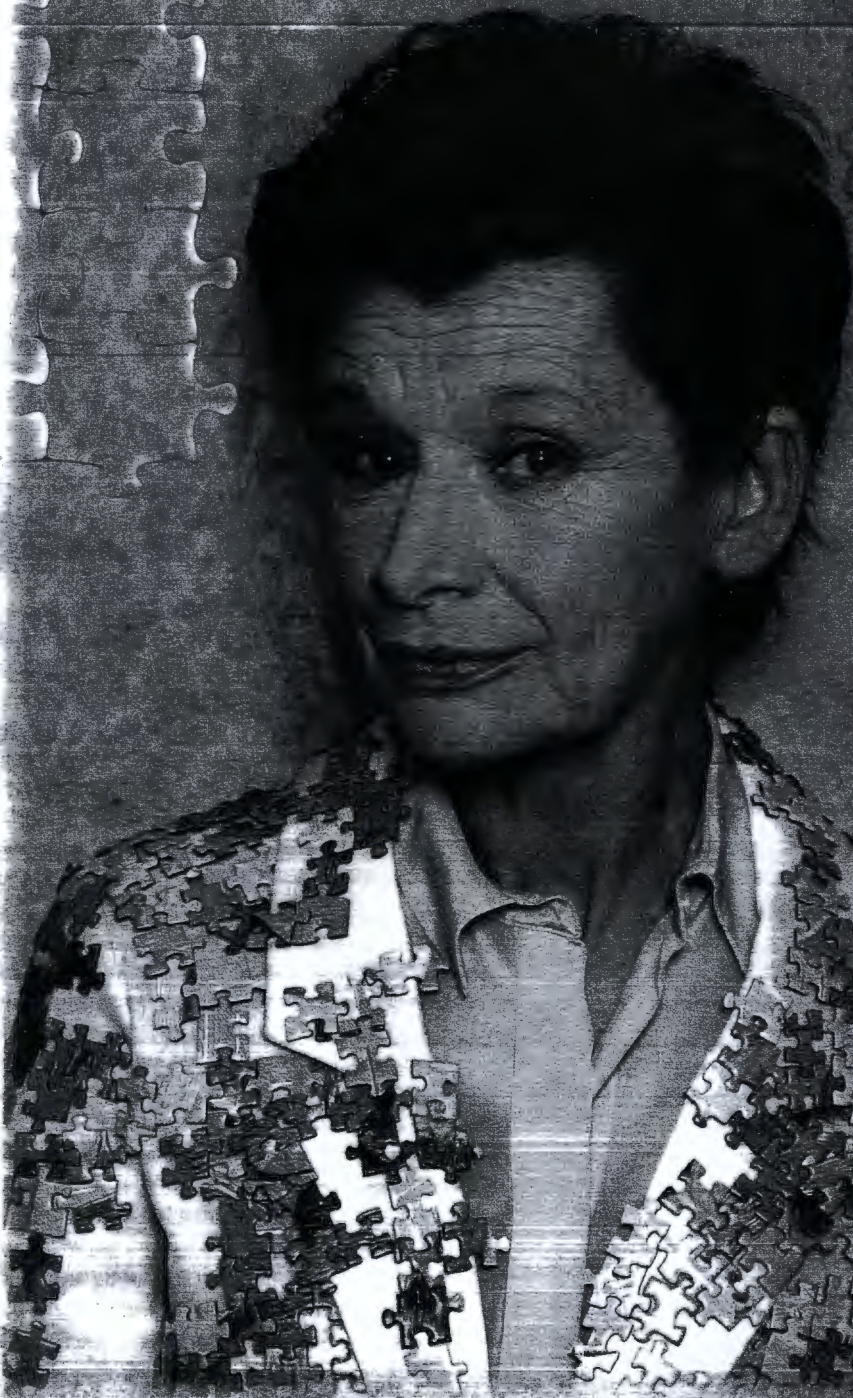
J. Janikowski - Cieślak

OTOCZYŁA
NAS FALA
NIEBIESKICH
BAJKOWYCH
STWORZEN.
ZNAŁAZŁYSMY
SIĘ W TUBIE
Z RYB.

SONIA BOHOSIEWICZ, AKTORKA



NIC
NIE MUSI
z tego wynikać



„MIAŁAM CZAS
KRZYZOWEK,
JOLEK, PUZZLI
IM BYŁY
TRUDNIEJSZE,
TYM LEPSZE”

JADWIGA JANKOWSKA-
CIESLAK, AKTORKA

CO ICH ZACHWYCA? SKOMPLIKOWANA TECHNIKA ŚCIEGU,
KSIĄZKA DORIS LESSING ALBO KAMERUNSKA KALIMBA
SCHODZA GŁĘBOKO POD WODĘ LUB POKONUJĄ MARATONSKIE
DYSTANSE. TO ŚWIATY, W KTÓRYCH ODNAJDUJĄ SPOKÓJ
TEKST **MONIKA GŁUSKA-BAGAN** FOTOGRAFOWAŁA **AGATA POSPIESZYŃSKA**



„UWIELBIAM
CZYTAĆ W ŁÓZKU,
JEŚĆ CZEKOLADKI,
ROZRZUCAC
PAPIERKI OD
CUKIERKÓW I NIE
PRZEJMOWAC SIĘ
NICZYM”.

MALGORZATA BOGDAŃSKA, AKTORKA



Zaczęło się przypadkowo. Trzy lata temu aktorka Sonia Bohosiewicz poczuła, że powinna zrobić sobie przerwę w pracy. Była zmęczona, skończyła wtedy zdjęcia do „Wojny polsko-ruskiej” w reżyserii X. Żuławskiego i serialu „39 i pół”. Marzyła o spokoju, plaży, pływaniu w morzu. Razem z siostrą Mają, również aktorką, poleciały do Tajlandii. Ale po kilku dniach znudziło im się wylegiwanie. Zobaczyły reklamę jednodniowego kursu nurkowania i, niewiele myśląc, zapisały się na niego. – Byłyśmy zachwycone, zdecydowałyśmy się powtórzyć „nurki” następnego dnia – opowiada Sonia. – Te 50 minut z instruktorem minęło jak kwadrans. Nagle otoczyła nas fala niebieskich bajkowych stworzeń. Znalazłyśmy się w tubie utworzonej z ryb. Na co dzień nie mamy możliwości spojrzenia dzikim zwierzętom w oczy. A wtedy to bardziej one przyglądały się nam niż my im. Poczułam się jak gość w ich tajemniczym świecie i zapragnęłam tam wrócić.

MOJE PODWODNE KATHARSIS

Po przyjeździe do Warszawy Sonia myślała o kolejnych podróżach. Najbliższe rafy koralowe są w Egipcie. Wkrótce wybrały się tam razem z siostrą. Zrobiły jeden kurs, potem drugi – mogły zejść na głębokość 30 metrów. Często, gdy nurkują razem, na widok wielkiej płaszczki łapią się z wrażenia za ręce. Trzeba pamiętać, że to sport ekstremalny. Pływa się w parach i jest się odpowiedzialnym za swojego partnera. I tu bardzo sprawdza się siostrzane zaufanie. Podczas wyjazdu zaliczają zwykle dwa „nurki” dziennie. – W czasie takich wakacji wcale nie leniuchujemy. Tydzień nam wystarczy, żeby naprawdę odpocząć. Nasza doba jest wtedy uregulowana: jemy lekkie posiłki, chodzimy wcześniej spać, chyba że jeszcze raz nurkujemy w nocy. To kosmiczne uczucie, jak sen. Woda wymaga specyficznego rodzaju skupienia, cisza tam jest inna, a ciało wolniejsze, lżejsze. Pod wodą czuję się jak przeniesiona do innego świata. To dla mnie namiastka latania. Odskokcznia, która sprawia, że życie zyskuje nowy wymiar. Kiedy zaczynam czuć zmęczenie, myślami uciekam na wyprawy nurkowe. Nawet samo planowanie podróży dostarcza mi już paliwa do pracy – mówi Sonia Bohosiewicz. Właśnie wraca z basenu, zaraz po wywiadzie biegnie odebrać Teodora, 4-letniego synka, z przedszkola, drugi – 8-miesięczny Leonard – czeka na nią w domu. Cały czas dba o kondycję, już nie może się doczekać, kiedy zrobi kurs na „suchy skafander”, aby móc zejść na głębokość 60 metrów. – Tam jest już bardzo cicho i ciemno, ale kto znajduje się tak głęboko, może wiele się dowiedzieć o sobie – uważa aktorka. Tego samego zdania jest znakomity muzyk klasyczny i jazzowy Krzysztof Herdzin. – Lubię wodę, świetnie pływam – opowiada. – Byłam w Egipcie, Jordanii, a teraz mam w planach Bali, gdzie znajomy prowadzi szkołę nurkową. W ciepłych morzach nie ma zbyt silnych prądów i jest świetna przejrzystość, czuję się tam jak w raj. Dla mnie ciekawe jest też to, że znajduję się w kompletnie innej akustycznej rzeczywistości. Wychwytyję szmery, szum wody poruszanej przez ryby albo żagłówki. Kiedyś, gdy nurkowałam koło Taby, tuż przy granicy izraelskiej, usiadłem na dnie Morza Czerwonego. Miałem w butli powietrza na pół godziny. Zamknąłem oczy, uspokoiłem oddech i zapomniałem o bożym świecie. To był rodzaj oczyszczenia. Tego nie da ani cudowny masaż, ani piękna suita. Fenomenalna chwila, moje katharsis.

UTWÓR NA UKULELE

Krzysztof Herdzin twierdzi, że pasje mają w sobie coś egoistycznego i egocentrycznego. Trzeba zawalczyć o czas tylko dla siebie. Z drugiej strony współczuje ludziom, którzy nie mają hobby, są zawieszani w próżni i spędzają życie na oglądaniu telewizji. W jego przydomowej pracowni pełno jest dziwnych instrumentów. Na półkach i stojakach leżą klarnet, klarnet basowy, saksofon tenorowy. Znajduje się tu cała kolekcja fletów: andyjska quena, japońskie shakuhachi, poprzeczne i irlandzkie whistle w różnych rozmiarach, chińskie flety bambusowe, piszczałki z Chin – hulusi. Są też duduki – armeński instrument dęty, kameruńska kalimba i harmonijki ustne. – Ostatnio zakochałem się w ukulele – oznajmia muzyk z takim entuzjazmem, jakby opowiadał o miłosnym podboju. – To zupełnie inny sposób gry niż na gitarze, inne strojenie. Mam też theremin, jeden z pierwszych instrumentów elektronicznych. Kupiłem go niedawno, jest bardzo trudny do opanowania. Sam sobie ustalę system ćwiczeń, czytam podręczniki. Szukam nowych brzmień. Jako aranżer lubię znać wszystkie instrumenty, na które piszę muzykę, wtedy łatwiej mi tworzyć.

Muzyka nigdy nie męczy Krzysztofa Herdzina. Artysta przyznaje jednak, że gdy wychodzi na scenę filharmonii, za każdym razem przeżywa niepewność, jak odbiorcą go słuchacze. Ciągłe przebywanie w trasie bywa męczące. Wieczorem w pokoju hotelowym wyjmuje ukulele. – Dla mnie to świetna metoda odreagowania. Za młodośniamiż życiowy, który napisałem dla siebie, płacę wódkę. Mam 42 lata, nie założyłem rodziny. Prowadzę taki tryb życia i stawiając muzykę na pierwszym miejscu, nie ułatwiam innym bycia ze mną. Niemniej czuję się spełnionym i szczęśliwym człowiekiem, patrzę na świat przez różowe okulary i dzielę się tym z innymi.

ONA TAK SIEDZI I PŁACZE NITKĘ

Przez duże okna wpada światło. Zalamuje się na beżowych, ręcznie robionych zasłonach. Siedzimy w kuchni u aktorki Jadwigi Jankowskiej-Cieślak. Na stole magazyn z wzorami szydełkowych obrusów. – Kupuję te gazety tylko wówczas, gdy wypatrzę nową fakturę serwetki – mówi. – Każdy ścieg i wzór są dla mnie matematyczną zagadką. Przyglądam się, rozpracowuję poszczególne fragmenty. Nudne i zmudne, ale w końcu dochodzę do rozwiązania. Nic z tego nie musi wynikać. W ten sposób nabieram dystansu i znów wracam do codziennego młyna.

Na tzw. sztrykowanie, czyli robótki na drutach i szydełku, aktorka zawsze znajduje czas. Robiła to, kiedy studiowała w warszawskiej PWST, gdy wyszła za mąż za reżysera Piotra Cieślaka i potem, jak rodziły się dzieci: Zosia, Jakub, Antoni. Ale najintensywniej szydełkuje od 10 lat. Zaczęła bowiem mieć coraz mniej propozycji grania. Po odejściu wraz z mężem z Teatru Dramatycznego w Warszawie nie dostawała prawie żadnych. Szydełkowanie to dla niej forma medytacji. – Nikt nie może mi zarzucić, że się wyobcowuję, bo jestem przecież zajęta i skupiona. Znakomite alibi, żeby się wyciszyć. Lubię być ze sobą. Jestem jak skowronek, wstaję wcześniej – około 4 – i wtedy w ciszy mogę popracować.



„PASJE MAJĄ
W SOBIE COŚ
EGOISTYCZNE, O,
TRZEBA
ZNALEZĆ
NA NIE CZAS”
KRZYSZTOF HERDZIN, MUZYK

Miała czas kieszonki, jolek, pasjansów, puzzli. Kupowała układanki złożone z tysięcy kawałków. Im trudniejsze, tym lepiej, na przykład krajobraz z niebem i morzem. Jednak zawsze udawało się jej to poskładać. Od dziecka lubiła zajęcia wymagające precyzji. – Ojciec patrzył na mnie, uśmiechał się i mówił: „Ona tak siedzi i płacze nitkę” – wspomina. W przedszkolu w rodzinnym Gdańsku bawiła się, udając, że naciska pedał maszyny. Robiła kapcie i sukienki dla lalek. A zaczęło się od tego, że przyglądała się dziadkowi Antoniemu, który był doskonałym krawcem. Szydełkowania nie porzuciła nawet wtedy, gdy jako 16-latkę zafascynowała się sztuką aktorską i chodziła na przedstawienia. W latach 70. i 80. jeździła czasem ze spektaklami po kraju. Pierwsze, co robiła w kolejnym mieście, to szukała pasmanterii. Zdobyć nici →

REPORTAŻ MÓJ MIKROŚWIAT

graniczyło wtedy z cudem. Z form, które przez lata doskonaliła, dobrze wychodzi jej wyplatanie firanek. Bawełniane nici naciąga się na ramę i łączy w duże supły igłą. Wyplecenie zasłony trwa dwa lata. – Przepięknie wyglądają, ale niszczą się pod wpływem słońca, ruchu – opowiada Jadwiga Jankowska-Cieślak. – Na ogół nie jestem zadowolona ze swych dzieł. Oglądam zrobioną serwetkę i krzyczę: „Co za bezguście, jak ja w ogóle mogłam to zrobić! Trzeba nie mieć smaku!”. Te serwety, które aktorka uznaje za znośne, rozdaje. Wielkie kapy w kolorze écru (każda kosztowała ją półtora roku pracy) leżą na łóżkach w sypialni u niej i u rodziny syna, mieszkającej na parterze ich wspólnego domu.

ZACZYTANA

W wiosenne i letnie miesiące Jadwiga Jankowska-Cieślak zostawia szydełkowanie i pracuje w ogrodzie. Dom tętni życiem od 6 do 22. Obok niej jest rodzina, wnuczek Tadeusz, trzy psy, kot. Wieczorami siada z książką. – Gdy nie przerzucę choć kilkunastu kartek dziennie, to jakbym nie umyła zębów – deklaruje. – I wciąż poszukuję tej, która zachwyci mnie totalnie. Jeszcze takiej nie znalazłam, choć czytając autobiografię Doris Lessing, byłam pewna, że jestem już blisko.

Jej pasję do książek podziela aktorka Małgorzata Bogdańska. Jest zupełnie inna niż wyciszona Jadwiga Jankowska-Cieślak – rozmowna, otwarta. Małgorzata od dzieciństwa dużo czyta. Ruchliwa dziewczynka, po podwórkowych szaleństwach na warszawskiej Ochocie biegła do książek. Czytała, gdy siedziała w domu, bo na przykład złamała nos na trzepaku. Jej ulubioną bohaterką była Pippi Langstrump. Małgorzata przewracała kartki i nałogowo skubała pestki słonecznika. Kiedy pierwszy raz zobaczyła inscenizację uwielbianej „Pchły Szachrajki” Jana Brzechwy, zakochała się w teatrze. W podstawówce zapisala się z koleżanką z klasy Kasią Figurą do Ogniska Teatralnego Haliny i Jana Machulskich. Potem, już po studiach w łódzkiej Filmówce, przez 25 lat grała w Teatrze Ochoty. Dziś nadal lubi zasiedzieć się nad książkami, najczęściej wieczorem, po spektaklu. Lektury nie tylko ją relaksują, ale też pomagają przeżyć trudne chwile. W gorszych momentach życia ucieczką od smutku bywały dla niej kryminały Agathy Christie, Harlana Cobena, powieści Johna Irvinga. Dzięki nim „odlatywała” w inny świat. Nocą pochłaniała psychologiczne thrillery, po których inni nie mogliby zasnąć. Kilka lat temu zafascynowała ją książka Lionel Shriver „Musimy porozmawiać o Kevinie” – studium uczuć matki nastoletniego mordercy. Aktorka myślała o teatralnej adaptacji. Wyprzedziła ją amerykańska reżyserka Lynne Ramsay, która rok temu nakręciła film według powieści Shriver. – Zbieram książki, układam na półkach, ustawiam piętrowo przy łóżku. Często też pożyczam. Telewizji raczej nie oglądam. „Odstawiłam” ją, gdy miałam problemy ze słuchem. Przeszłam operację i teraz jest już dobrze. Echa tamtych trudnych wspomnień znalazłam w „Skazanych na ciszę” Davida Lodge’a. To zabawna i wzruszająca historia człowieka, który próbuje się pogodzić ze śmiertelnością, smutkiem ludzkiej egzystencji oraz swoim największym utrapieniem: głuchotą.

W monodramie Małgorzaty Bogdańskiej „Moja Droga B.”, wystawianym na deskach warszawskiego teatru Polonia, bohaterka też mówi o swoich lękach, bezsenności, marzeniach. To adaptacja zbioru felietonów Krystyny Jandy, której dokonał mąż Bogdańskiej, reżyser Marek Koterski. – Tak jak Moja Droga B. uwielbiam leżeć w łóżku, jeść czekoladki, rozrzucać papierki od cukierków i niczym się nie przejmować.

Wtedy odpoczywam. Nie przeszkadza mi bałagan, ważne, że bliscy są w domu, jest bezpiecznie. To mnie wycisza. Lubię, gdy obok mnie leży mąż i też czyta. Wymieniamy się uwagami, spostrzeżeniami. Ostatnio aktorka występuje z monodramem w więzieniach dla kobiet. Zwykle odbywa się to w nieprzytulnych salach. Więźniarki siadają na zydełkach, niektóre na początku patrzą tylko w podłogę albo w przestrzeń. Ona jest jednak blisko nich, spogląda im w oczy. Czuje, jak budzą się emocje, a między kobietami rodzi się więź. Na koniec podchodzą, dziękują, głaszczą ją po rękach. Bogdańska nie chce znać ich historii, oceniać. Doskonale wie, że życie bywa nieprzewidywalne. – Po każdym takim spektaklu staję się nie tylko lepszym człowiekiem, ale i aktorką. Nie tylko ja coś daję tym kobietom. Od nich też otrzymuję wielką siłę.

NIE TYLKO DLA HEROSÓW

Haruki Murakami w książce „O czym mówię, kiedy mówię o bieganiu” opowiada o pasji, a także o tym, że wysiłek jest sposobem na hartowanie ducha. Wie o tym Łukasz Grass, były dziennikarz Radia TOK FM i TVN24. Teraz prowadzi cykl dokumentów „Jak zmieniliśmy świat” w Discovery Channel, niedawno wydał książkę „Trzy mądre małpy”.

– Pochodzę ze Starogardu, 100 km od Szczecina, wychowałem się na wsi – opowiada. Sport był dla niego przepustką do innego świata. Uprawiał lekkoatletykę, piłkę nożną. Marzył, aby zostać dziennikarzem sportowym. Uważał, że najlepiej przygotuje go do tego zawodu AWF. Wybrał studia w Poznaniu. Tam też zaczął pracę w radiu jako dziennikarz sportowy. – Kiedyś w zastępstwie kolegi poszedłem na sesję rady miasta i wciągnęła mnie polityka. Potem trafił do Warszawy, dziennikarstwo pochłonęło go całkowicie.

– Zaniedbałem się, przytyłem, jak większość ludzi szukałem wymówki, aby wytłumaczyć się z braku ruchu. To było fatalne nie tylko dla mojego zdrowia, ale i psychiki. Byłem zmęczony, sfrustrowany. Gdy po raz kolejny wszedłem na wagę, a na wyświetlaczu pokazała się trzycyfrowa liczba, podjąłem decyzję. Jeszcze tego samego dnia zapisałem się na największe zawody triathlonowe na świecie w Londynie. Miałem rok na przygotowania. Triathlon obejmuje trzy konkurencje: pływanie, jazdę na rowerze, bieg. Łukasz zmienił grafik dnia. Wstaje o świcie, o 6 jest już na basenie. Popołudniami biega lub jeździ na rowerze. W bagażniku wozi buty, dres i rower. Trenuje niezależnie od pogody. – Najważniejsza jest systematyczność. Rodzina? Mam żonę i dwie córki. Kibicują mi. Młodsza jest w przedszkolu, ale starsza zaczyna przygodę ze sportem: tenis, rower, basen. Na początku najbliższych mogły przebiegać długie treningi. Potem nauczyłem się aktywniej wykorzystywać czas i częściej spędzam go z rodziną. Łukasz zajął się też popularyzacją tego sportu i założył portal www.akademiatriathlonu.pl, który integruje środowisko amatorów. Przyznaje, że u nas wciąż pokutuje stereotyp: „Jak profesor,



„SPORT JEST DLA MNIE
PRZEPUSTKĄ
DO INNEGO ŚWIATA”
ŁUKASZ GRASS, DZIENNIKARZ

to garbaty, jak sportowiec, to głupi”. Mało jest pozytywnych wzorców. Na szczęście to się zmienia. W grupie ambasadorków triathlonu znaleźli się m.in.: Magdalena Boczarska, Paulina Sykut, Piotr Adamczyk, Tomasz Karolak, Marcin Dorociński. Wyścigi w triathlonie organizowane są na różnych dystansach, a najtrudniejszy Ironman to 3,8 km pływania, 180 km jazdy na rowerze i 42,2 km biegu. Łukasz pokonuje to wszystko w 11 godzin. – Jeśli się tego dokona, to już nic nie jest trudne. Ani szef, ani krytyczna sytuacja w pracy nie może cię wyprzewodzić z równowagi.

Kiedy pytam, jak się czuje po takim wysiłku, śmieje się: – Obiecałem sobie, że nigdy nie zadam sportowcowi takiego pytania. Najlepiej samemu spróbować. Bo czasem, aby znaleźć tę ukochaną pasję, trzeba długo szukać. ■